

Nagroda Literacka "Kultury" za rok 1961

Jury postanowiło przyznać tegoroczną nagrodę „Kultury” Józefowi Łobodowskiemu.



Józef Łobodowski jest naszym ostatnim poetą romantycznym „szkoły ukraińskiej”. Wiersze romantyczne nie są dziś w modzie. Lecz nie tylko to dzieli Łobodowskiego od jego rówieśników i młodszych kolegów. Posłuchajmy np., co mówi o koniach:

„Wierzchowców długie grzywy faluje łagodny rytm”

Łatwo zgadnąć, że Łobodowski jak sam emir Rzewuski, w młodości jeździł konno po stepie, gdy większość jego rówieśników i młodszych kochanków muz hasała po asfalcie, w tramwajach i taksówkach. Nic więc dziwnego, że w jego słowach jest więcej zrywu i naporu niż misterności. Ale nie o to chodzi. Jury „Kultury”, przyznając mu nagrodę, nie zamierzało zajmować stanowiska w sprawach poetyki. Tradycja romantyczna, którą reprezentuje wśród nas Józef Łobodowski, nie da się zresztą do tych spraw sprowadzić.

Poeci romantyczni, bredzący Litwą i Ukrainą, zostawili nam obraz Rzplitej Jagiellońskiej z jej borami i stepami, z jej dobrymi i złymi urokami, z jej tragicznymi sprzecznościami wewnętrznymi. W ich otoczeniu spisane zostały pierwsze książki o folklorze i własnym obliczu ludów, wchodzących w skład dawnej

Rzplitej. Wiedzeni instynktem, autorzy ich pragnęli jak gdyby oddzielić się barierą nowych ludów od zwycięskiej potęgi Rosji.

Następne pokolenia odwróciły się od tego ogromnego fresku romantyków i od zagadnień cywilizacji jagiellońskiej. Myśli ich zwróciły się w inną stronę, jak gdyby w przeczuciu późniejszych wyroków losu.

Dziś, gdy po pięciuset latach Polska wróciła do granic piastowskich, wizja pozostawiona przez romantyków stawia nowe pytania. Wielu z nas, czy tego chcemy czy nie, jest synami Rzplitej Jagiellońskiej, naznaczonymi w jakiś sposób przez jej osobliwą cywilizację. Czasami, nawet w tłumie rodaków, odczuwamy wy-nikłą stąd milczącą odrębność. Co mamy z nią zrobić w naszej piastowskiej ojczyźnie?

Spotkanie z Józefem Łobodowskim pozwala nam przejrzeć się na nowo w zwierciadle naszych jagiellońskich wspomnień i skonfrontować je z nową rzeczywistością. On jeden słyszy wyraźnie głosy, dochodzące poprzez kordony graniczne z dawnych obszarów Rzplitej, a które dla wielu z nas są tylko niejasnym szmerem pamięci. Mam tu na myśli jego tłumaczenia poetów ukraińskich i białoruskich, naznaczonych również przez cywilizację jagiellońską. Oznajdujemy u nich znane nam dobrze skąd inąd barokowe kształty folkloru i łacińskie reminiscencje:

A dokąd z krzywdą swoją tak kroczą?
Czym pragną pokazać ją oczom?
Światu całemu.

(Janka Kupala)

I gaśły mi Skorpioną wróżby chmurne,
a ręka Strzelca unosiła w górę
swój srebrny łuk i była mi przyjazna.

(Mykoła Zerow)

W swej próbie zbliżenia ponownie rozproszonych przez bieg historii fragmentów starej cywilizacji dzieło tłumacza przekracza tu granice, zakreślone zazwyczaj temu rzemiosłu poetyckiemu.

Chtonność Łobodowskiego, jego zdolność rozumienia i opnowywania wyobraźni poezji obcej jest na miarę Renesansu, kiedy literatura europejska posiadała jeszcze wspólny język — łacinę. Jest on bowiem również zapalonym znawcą poezji rosyjskiej i hiszpańskiej. Przekłady z tej ostatniej zyskały mu szerokie uznanie. Naginając się, jako tłumacz, do wymagań tylu stylów i języków, Łobodowski zostaje jednak zawsze sobą. Nawet jego

wiersze tłumaczone z hiszpańskiego mają jakieś tajemne powinowactwo z jego pierwszą muzą stepową:

Przez równinę, poprzez wiatr,
Czarny koń, czerwony księżyc.

Przyznając mu tegoroczną nagrodę, jury „Kultury” pragnie wyróżnić nie tylko talent, lecz także szlachetną i samotną postawę Józefa Łobodowskiego.

P. H.

Polski sezon jesienny w Paryżu

Dwie wystawy Jana Lebensteina. Jedna, to realizacja jego nagrody na pierwszej paryskiej Biennale: olbrzymia sień i kilka sal Muzeum Sztuki Nowoczesnej miasta Paryża, w którym jednocześnie na górnych piętrach mieści się wystawa drugiej Biennale. Wystawa Lebensteina wygląda rzeczywiście imponująco: czterdzieści pięć wielkich obrazów olejnych, kilkanaście gwaszy, dwadzieścia sześć wielkich rysunków. Sale przyznane Lebensteinowi są tak obszerne, tak wysokie, że dzieło innego malarza mogłoby w nich zniknąć. Ale przepych materii tych dużych, często wąskich i wysokich obrazów, ich hieratyczna powaga nie tylko przewyciężają przestrzeń, ale wypełniają ją szczególną fascynacją. Od pierwszych figur osjowych Lebensteina z roku 1957 do wielkich totemów które maluje on obecnie, przebiega jedna, stała linia rozwojowa. Zwiedzającego uderza jednolitość atmosfery. Te atawistyczne bóstwa, barbarzyńskie herby, organiczne lupy są jakby eksploracją, przez na wskroś współczesną wrażliwość, prastarych, zapomnianych cywilizacji. Materia malarstwa Lebensteina należy do najbardziej wyszukanych, do najpysniejszych w epoce w której właśnie materia jest głównym bodaj terenem doświadczeń i poszukiwań młodych twórców. Patrząc długo na te obrazy, wydaje się że mienia się jak bańki mydlane, że lśnią tęczą utlenionych metali czy nafty rozlanej na podmiejskich bagnach. Czasami mają groźne wzdęcia ledwo ostygłej lawy. Kiedy indziej znów powierzchnia staje się chropowata, zwisa jak skóra nosorożca czy hipopotama. Podobnie jak większość młodych polskich malarzy, Lebenstein jest niemal monochromiczny. Najbardziej interesują go trudne i subtelne